

MARIUSZ URBANEK

# Brzechwa

NIE DLA DZIECI



# Brzechwa

NIE DLA DZIECI

MARIUSZ URBANEK

# Brzechwa

NIE DLA DZIECI



Opracowanie graficzne: Andrzej Barecki  
Korekta: Dobrosława Pańkowska

Na obwolucie wykorzystano zdjęcie

Zamieszczone w książce zdjęcia

Wydawnictwo dołożyło wszelkich starań, aby skontaktować się ze wszystkimi autorami zdjęć. Okazało się to jednak niemożliwe. Dlatego sekretariat wydawnictwa prosi fotografików, z którymi nie zostały podpisane umowy, o pilny kontakt.

Copyright © by Mariusz Urbanek, Warszawa 2013  
Copyright © by Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2013

ISBN 978-83-244-0311-0

Wydawnictwo Iskry  
ul. Smolna 11  
00-375 Warszawa  
tel./faks: (22) 827-94-15  
e-mail: [iskry@iskry.com.pl](mailto:iskry@iskry.com.pl)  
[www.iskry.com.pl](http://www.iskry.com.pl)

## Chciał być kimś innym

Przeszedł do historii jako genialny bajkopisarz, choć do końca życia nie uwierzył, że to właśnie jest jego przepustka do wieczności.

Wcześniej było trzech innych Brzechwów. Był adwokat, doskonale zarabiający, brylujący na salach sądowych, ceniony na świecie autorytet w dziedzinie prawa autorskiego. Zrezygnował z prawniczej togi, gdy tylko stało się to możliwe.

Był poeta. Pisał wiersze przez dwadzieścia pięć lat; na kolejnych dwadzieścia poezja poszła w zapomnienie. Pod koniec życia wrócił do liryki. Wtedy powstały jego najlepsze utwory. Ale umierał w poczuciu niespełnienia. „Przez cały czas chciałem być poetą lirycznym” – mówił.

I był satyryk. Przed wojną autor skeczy i piosenek bawiących kabaretową publiczność, po wojnie przedstawiciel satyry walczącej, twórca propagandowych utworów, które przeciwnicy będą mu wypominać jeszcze wiele lat po śmierci.

Czwarty, autor bajek, pojawił się, gdy dobiegał czterdziestki. Razem z Julianem Tuwimem wzniesli poezję dziecięcą na wyżyny, na które po nich nie wspiął się nikt. Ale historia zakpiła z niego. Zmagał się z poczuciem niedowartościowania. Myślał, że krytycy go lekceważą, bo jest dostarczycielem literackiej galanterii dla dzieci, ale naprawdę to on sam nie docenił Brzechwy bajkopisarza. Chciał być kimś innym...

## I tak zostałem Brzechwą na całe życie...

Historię swego dzieciństwa Jan Brzechwa opisał w powieści *Gdy owoc dojrzewa*. Na ile prawdziwie? Na tyle, na ile prawdziwe są autobiograficzne powieści. Każda jest w połowie zmyślona, mówił, ale każda zmyślona powieść jest też w połowie autobiograficzna.

– *Gdy owoc dojrzewa* nie jest opowieścią o tym, jak było, ale jak mogło czy powinno być – powiedział Krystynie Nastulance. Ale tło geograficzne i historyczne w powieści jest wiernym odbiciem rzeczywistości, zastrzegł. Naprawdę jest w tej powieści znacznie więcej prawdy, niż chciał przyznać.

Zaczął od zdjęcia zrobionego w 1905 roku przez Mojsieja Abramowicza Szapiro, właściciela zakładu przy ulicy Wielkiej Morskiej 12 w Sankt Petersburgu, fotografa Ich Cesarskich Wysokości Wielkiego Księcia Włodzimierza Aleksandrowicza i Wielkiej Księżny Marii Pawłowny. Tytuły fotografa brzmią bajkowo, ale zdjęcie powstało naprawdę. Widać na nim ładną, ciemnowłosą dziewczynkę i młodszego od niej chłopca. Oboje w bluzkach z marynarskimi kołnierzami, oboje bosi, z dziecinnymi szpadelkami w rękach. Dziewczynka stoi, chłopiec siedzi na wielkim kamieniu, który leżał na podwórzu domu w Nowych Sokolnikach, gdzie zdjęcie zostało zrobione. Mówiło się, że kamień to meteoryt, który spadł, kiedy jeszcze nie mieszkali tam ludzie. Dzieci to Halinka i Janek Lesmanowie, w powieści Krysia i Adaś. „Przez fotografię, jak przez furtkę czarnoksiężnika, wchodzę do krainy mego dzieciństwa – napisał Brzechwa – (...) utożsamiam się z chłopcem, o którym wiem, że jest mną samym”. Miał wtedy siedem lat.

Nowe Sokolniki były wówczas niewielkim osiedlem kolejowym przy uruchomionej parę lat wcześniej linii kolejowej z Moskwy do Windawy (łotewskie Ventspils) i dalej do Rygi. Ojciec dzieci, inżynier Aleksander Lesman, absolwent Instytutu Technologicznego w Sankt Petersburgu, był tam naczelnikiem parowozowni Kolei Połu-

dniowo-Zachodniej, potocznie zwanej depo. Podlegali mu maszyniści i parowozy obsługujące ruch kolejowy w tej części Rosji. Nowe Sokolniki w guberni pskowskiej były kolejnym już przystankiem w karierze zawodowej inżyniera Lesmana. Przenosił się wraz z rodziną tam, gdzie posyłały go władze carskiej kolei. Przed Nowymi Sokolnikami była Żmerynka, gdzie trzy lata po Halinie, w 1898 roku, urodził się Janek. Po Żmerynce Wielkie Łuki, a potem znów Nowe Sokolniki. „Co parę lat wnoszono do domu wielkie kosze i skrzynie, do których pakowano nasze meble i rzeczy” – wspominała po latach siostra poety. „Zamieszanie i harmider, towarzyszące przeprowadzce, stanowiły dla nas wielką atrakcję”. Nowe miejsce oznaczało nowych ludzi, nowe znajomości, nowe przygody.

Gdy Janek przyszedł na świat, ojciec zbliżał się już do pięćdziesiątki. Aleksander Lesman był synem znanego żydowskiego księgarza i wydawcy Bernarda Lesmana, wcześniej nauczyciela w słynnej warszawskiej Szkole Rabinów. Synowie Bernarda Lesmana jednak odeszli od judaizmu. Józef ochrzcił swego syna (przyszłego poetę Bolesława Leśmiana) w kościele katolickim, Aleksander przyjął wiarę ewangelicką.

W 1892 roku przyjechał do Warszawy (pracował wtedy w Zdołbunowie na zachodniej Ukrainie) na urlop, odwiedzić rodzinę i rozejrzeć się za nową towarzyszką życia. Miał już za sobą nieudane małżeństwo, rozwód i siedem lat samotności. Szukał żony, która nie będzie kręcić nosem na nudne życie na rosyjskiej prowincji i wieczne przeprowadzki. Przedstawiono go pannie, co prawda inteligentnej, dowcipnej i bywałej w świecie (jeździła nawet do Paryża), ale też już nie najmłodszej. Michalina Lewicka przekroczyła trzydziestkę, co było jak na pannę na wydaniu wiekiem zaawansowanym, więc można było mieć nadzieję, że nie będzie grymasić. „Oboje przypadli sobie do serca, a że urlop ojca dobiegał końca, szybko doszli do porozumienia” – wspominała siostra poety Halina Lesman-Korecka. Michalina zdecydowała się wyjechać z mężem na głuchą prowincję i „nigdy nie żałowała tego kroku”, napisała Halina. Choć jej brat nie był już tego tak pewny. Matka cały czas tęskniła do Warszawy, zapamiętał, „nie może oswoić się z zapadłą kolejową stacją ani z trudnym rosyjskim

akcentem, ani z surową rosyjską zimą”. A pewnie też z niejasnym statusem Polaków w Rosyjskim Imperium. Niby pełnoprawnych obywateli, a jednak, choć od zaborów upłynęło już z górą sto lat, ciągle traktowanych jako politycznie podejrzani. „Niebłagonadiożni innostrancy”, nielojalni i wolnomyślicielscy, którzy przy pierwszej sposobności zwrócą się przeciw matuszce Rosji.

Ale to, co mogło być uciążliwe dla matki, dla dzieci było największą atrakcją. Żaby wylegające setkami na zamieniającą się w błoto jedyną drogę prowadzącą do Wielkich Łuków, zamarzająca rzeka, po której można było jeździć ciągniętymi przez konie saniami. „Pęd powietrza tamował oddech, a Jaś aż pisał z radości” – wspominała siostra. I wreszcie przyjemności najważniejsze. Parowozownia, pełna wielkich lokomotyw, które można było oglądać bez końca. Szyny, po których można było chodzić, pomagając sobie wyciągniętymi rękami w utrzymaniu równowagi. Peron, na który przyjeżdżały pociągi z całego kraju, a kolejarze przywozili najnowsze wiadomości ze stolicy i świata i gdzie bufet prowadził Piotr Afanasjewicz Sinicyn, który każdemu, kto chciał i nie chciał, pokazywał zegarek, jaki dostał od samego cara Aleksandra III.

W depo byli ludzie, którzy fascynowali małego chłopca. Gawriła, mąż Tekli, kucharki w domu Lesmanów, pracował jako maszynista i często wyjeżdżał, nawet na parę dni. Dzieciom przynosił z parowozowni różne drobiazgi, wytaczane z odpadków stali i miedzi, których tam nie brakowało. Maszynista Frołow, były marynarz, który morskim zwyczajem żuł tytoń i miał na ręce wytatuowaną głowę diabła. Brał Janka na parowóz i opowiadał o służbie w wojsku, więc kiedy zdarzyło się, że się upił i został wyrzucony z pracy, chłopiec poprosił po cichu ojca:

- Niech tatuś przyjmie Frołowa.
- Już go przyjąłem – odszepnął ojciec.

Później okazało się, że Frołow był jednym z maszynistów najbardziej zaangażowanych w rewolucję 1905 roku.

Lesmanowie mieszkali niedaleko parowozowni, w pewnym oddaleniu od stacji. Duży dom, jeden z trzech, w których zakwaterowano



naczelników nowosokolnickiej kolei, zwrócony był fasadą do torów. „Przed oknami raz po raz przejeżdżały pociągi osobowe i towarowe, gwizdząc i sycząc manewrowały parowozy, nad Nowymi Sokolnikami nieustannie unosił się dym, bez przerwy dudniły szyny. Ten wieczny stukot kół stał się pulsem naszego kolejowego osiedla” – wspominał po latach Jan Brzechwa. Przy domu był kurnik, drewniania, szopa, ziemianka, gdzie przechowywało się produkty wymagające chłodu, ogród i sad owocowy. Ogrodnik, który miał się nimi zajmować, wyznawał jednak zasadę, że o pięknie rosyjskiej przyrody najlepiej świadczą osty, pokrzywy, łopian i inne chwasty.

Ale największą atrakcją dla dzieci był ojciec – mądry, dowcipny, cierpliwy i wyrozumiały. Inaczej niż matka, surowa, wiecznie zmęczona, porywcza i niezadowolona z zachowania dzieci. Nie zgodziła się na kupienie Jankowi wymarzonego roweru i to od niej po każdej psocie chłopiec słyszał okrutne słowa: „Nie, ty nie jesteś dobre dziecko”. Kiedy za jakiś niewinny żart, w rodzaju obcięcia guzika od pałta naczelnika stacji – a Janek zbierał guziki i właśnie takiego „urzędowego” mu brakowało – matka zamknęła syna w ciemnym pokoju, ojciec wszedł przez okno, żeby razem z nim odbyć pokutę. Nie mógł więźnia uwolnić, bo to poderwałoby autorytet matki, ale mógł odsiedzieć karę razem z synem. Podobnie było, gdy matka kazała zarznąć ukochanego kogucika Janka, dokarmianego okruszkami Czubatka, bo uznała, że ptak jest już dość duży, by pójść pod nóż. Chłopiec rozplakał się i powiedział, że Czubatka nie zje, do strajku przyłączyła się Halinka, a ojciec, ostatnia nadzieja matki na wsparcie, ogłosił:

– My przyjaciół nie jadamy, prawda, synku?

Aleksander Lesman nie przyłączył się do kary nawet wtedy, gdy Michalina postanowiła ukarać syna wielodniowym milczeniem, bo zniszczył jej jedwabny chiński parawan. Co prawda parawan był pęknięty, ale Janek powiększał dziurę, zafascynowany wyłazającym ze środka papierem zadrukowanym chińskimi literami. Kiedy Michalina czyniła mężowi wyrzuty, że jest dla syna zbyt pobłażliwy, odpowiedział, jak zwykle, że to zbyt błaha sprawa w porównaniu z toczącą się wojną i epidemią cholery. W końcu ustępowała także matka.

Gdy dopadała ją migrena, ojciec spędzał z córką i synem wiele godzin. Świetny historyk i matematyk opowiadał dzieciom o Napoleonie i rewolucji francuskiej, historii starożytnej i średniowiecznej, tłumaczył trudne do pojęcia zjawiska z fizyki i chemii, a potem podsuwał do rozwiązania matematyczne łamigłówki. W gabinecie ojca na końcu domu stały wysokie półki z setkami oprawionych w zielony półskórek książek po polsku i rosyjsku, naukowych, z wierszami i powieściami Mickiewicza, Szekspira i Czechowa, Orzeszkowej, Schillera i Lermontowa. A także ofiarowany inżynierowi przez robotników model maszyny parowej. Ojciec pozwalał Halince i Jankowi mówić do siebie po imieniu, tak jak matka: Olu, Oluniu. Budziło to zdziwienie, a czasem zgorszenie osób, które tego słuchały, ale nie zmniejszało ani trochę respektu, które miały dla niego dzieci. „Uwielbialiśmy ojca bezgranicznie” – wspominała Halina Korecka. „Gramoliliśmy mu się na kolana, całowaliśmy i głaskali jego bujną czuprynę”.

Wielka historia zawitała do Nowych Sokolnik po raz pierwszy wiosną 1904 roku, kiedy rozpoczęła się japońsko-rosyjska wojna o wpływy na Dalekim Wschodzie. Przez stację przejeżdżały eszelony pełne żołnierzy w czapkach bez daszków. „Wieziono ich do nieznanego dalekiego kraju, do małych ośmieszonych «japoszków», na których mieli spaść jako karzące ramię potężnego cara Wszechrosji” – pisał Brzechwa. Śpiewali bojowe piosenki i butnie zapowiadali, że wroga „czapkami zarzuca”, a na nowosokolnickim peronie zbierali się ludzie, przynosząc „żołnierzynom” chleb, kiełbasę, jabłka i mleko.

Jechali na front bić się „za batuszku caria, za rodzinu, za wieru...”, a potem po cichu wracali, poprzedzani pokrętnymi komunikatami, mającymi ukryć klęski, które wielka Rosja ponosiła w wojnie z Japończykami.

Jesienią także do Nowych Sokolnik zaczęły docierać echa narastających w Rosji nastrojów rewolucyjnych. Ktoś próbował wykraść papiery z gabinetu ojca, ktoś napadł na niego na stacji, a naczelnik oddziału Kolei Południowo-Zachodniej, Rosjanin Kawrygin, robił wszystko, żeby rozpedzić „kramołę”, spisek, na którego czele stał je-

go zdaniem inżynier Aleksander Lesman. „Innostraniec”, co zdaniem Kawrygina tłumaczyło wszystko.

Skutkiem walki z nowosokolnicką „kramołą” było przeniesienie ojca do Wielkich Łuków nad rzeką Łował, na stanowisko naczelnika warsztatów, co prawda lepiej płatne, ale zdecydowanie mniej prestiżowe. Wielkie Łuki, liczące wtedy ponad 10 000 mieszkańców, były w porównaniu z Nowymi Sokolnikami prawdziwym miastem, a nie małą kolejową osadą, w której rytm życia wyznaczały przejeżdżające pociągi. Choć pisząc pół wieku później powieść *Gdy owoc dojrzewa*, Brzechwa nie był już tak bardzo pewny wielkomiejskości Wielkich Łuków. „Małe, prowincjonalne miasteczko, jedno z wielu zapadłych rosyjskich miasteczek znanych z utworów Czechowa, zmarłego przed paru zaledwie miesiącami” – wspominał.

Przeprowadzka oznaczała kilkutygodniowy wyjazd matki i dzieci do rodziny w Warszawie, podczas którego ojciec miał znaleźć i urządzić dom w nowym miejscu. A Warszawa to był zupełnie inny świat niż rosyjska prowincja. Konne tramwaje na ulicach, kamienice wysokie na pięć pięter, w mieszkaniach gazowe oświetlenie – w Rosji mieli lampy naftowe – i woda lejąca się ku zaskoczeniu dzieci wprost ze ściany, wystarczyło odkręcić kran. W Nowych Sokolnikach wodę dostarczał woziwoda Waśka wozem ciągniętym przez wątlęgo siwka. A już najbardziej dziwne było to, że w Warszawie wszyscy mówili po polsku. Gawriła uprzedzał Janka, że stolica jest większa i piękniejsza od wszystkiego, co dotąd widział, ale rzeczywistość okazała się jeszcze bardziej fantastyczna. A rodzina ze strony matki i ojca większa i bardziej spragniona kontaktów z krewnym, niż mógł znieść. „Zjawiały się różne dziwne postacie, które kazano mi kochać i mówić do nich «ciociu»” – wspominał Brzechwa. Chował się za matkę, żeby uniknąć nachalnych pieścizot, których był nieustannie ofiarą, bo Halinkę krewni zdążyli poznać już przy poprzedniej przeprowadzce. Za to przed nowo poznanymi kuzynami popisywał się znajomością języka rosyjskiego.

Zamieszkali u siostry matki, Anieli, i jej męża Benedykta Bormana, zamożnego przemysłowca, dostarczającego ukraińskim cukrow-

nikom sprowadzane z Norwegii i Szwecji noże do krojenia buraków cukrowych. Wuj starał się jak mógł umilać krewnym pobyt w Warszawie, ale naraził się Jasiowi strasznie, gdy zaczął kpić z jego rosyjskiego akcentu, nazywając Połusztannikowem. W ukazującym się w Warszawie satyrycznym tygodniku „Mucha” pojawiały się wówczas złośliwe felietony, których bohaterem był Rosjanin, próbujący mówić po polsku, ale z bardzo mizernym skutkiem. Nazywał się właśnie Połusztannikow.

Podczas pobytu w Warszawie Janek poznał też resztę rodziny. Przede wszystkim Bolka, przyszłego Bolesława Leśmiana, bratanka ojca. Bolek przyjeżdżał później na wakacje do Wielkich Łuków, a „Janek Ignął do niego jak do starszego brata i przewodnika po krainie poezji” – wspominała siostra.

W Wielkich Łukach Lesmanowie zamieszkali w domu wynajętym od kupca Mieńszykowa. Do warsztatów, miejsca pracy ojca, było daleko i trzeba było wynająć na stałe dorożkę, a w zimie sanie, którymi Aleksander dojeżdżał. Powoził Jegor, którego Janek polubił, bo woźnica pozwalał mu siadać obok siebie na koźle, dawał trzymać lejce i pokrzykiwać na pędzące konie: „Ej, bieriegis’!”. Rodzice zaprzyjaźnili się z rodziną doktora Jakuba, społecznika, który leczył za darmo okoliczną biedotę, więc Janek z Halinką też zaczęli przyjaźnić się z młodszymi spośród dziewięciorga potomstwa lekarza. W powieści Brzechwa opisuje swoją pierwszą w życiu miłość do siedemnastoletniej córki doktora, Poliny. Ale jego siostra była przekonana, że to raczej sentymentalne uniesienia starszego pana kazały poecie pół wieku później zachwycać się błyszczącymi oczyma, matową delikatnością cery, wilgotnymi wargami, pięknymi dłońmi, a nawet z lekka krzywo rosnącym zębem, który nadawał twarzy Poli „nieodparty powab”. „Historia jego miłości (...) jest oczywiście zmyślona” – napisała Korecka. Sześćioletni Janek bawił się jeszcze z dziećmi doktora, gdy jeden z wielkołučkih inżynierów z miłości dla Poliny chciał się zabić.

W powieści Adaś rozdarty jest między uczuciem do Poliny a miłością równie wielką i pełną uniesień do panny Kazi, zatrudnionej przez

matkę jako opiekunka dzieci. Kochliwy dwunastolatek ukradł nawet dla niej z toaletki matki flakonik modnych wtedy perfum Coeur de Jeanette. Ale dziewczyna nie chciała na niego czekać i szybko wyszła za mąż. To za sprawą Kazi Adaś poznał uczucie zazdrości, podglądając pannę przytuloną do innego, i to Kazia miała być tą, która kilkanaście lat później pozwoli mu zaznać smaku pierwszego pocałunku i gorycz niespełnionego pożądanego. Już jako gimnazjalista spotkał się z nią w Kijowie (Kazia była od kilku lat mężatką) i uczucie odżyło z nową siłą. „Przylgnąłem do jej rozchylnych warg i gniołem je pocałunkami bez opamiętania. (...) Kazia szamotała się, ale na próżno usiłowała uwolnić się z moich objęć. W oczach jej malowało się bezgraniczne przerażenie, jakby nagle zobaczyła upiora” – pisał. Ale uczucie do guwernantki też zostało przez Brzechwę mocno przerysowane. „Była to stara panna, w miarę brzydka, ale miła i sumienna” – wspominała pannę Kazimierę Halina Korecka.

Także do Wielkich Łuków docierały odgłosy radykalizujących się coraz bardziej nastrojów w imperium. Gawriła, który przyjeżdżał z Nowych Sokolnik do Tekli, opowiadał, że tam, gdzie jeździ parowozami, mówi się o wojnie z Japończykami zupełnie co innego, niż donoszą gazety. Żołnierze nie chcą walczyć, robotnicy strajkują, nawet chłopcy w różnych zakątkach Rosji zaczynają podnosić głowy. Janek chciwie przysłuchiwał się rozmowom dorosłych.

– Jeśli już umierać, to za lud, a nie za cara, który jest wrogiem ludu – mówił Gawriła, ku coraz większemu przerażeniu Tekli.

– Zgubisz siebie i mnie. Z carem wojować mu się zachciało! Nie tacy jak ty w kajdanach na Sybir chadzali – płakała.

Ale Gawriła nie dawał się przekonać. Opowiadał, że żołnierze zatrzymują pociągi wiozące ich na front, atakują żandarmów i wołają „Precz z wojną”. A Janek chętnie powtarzał wierszyk, którego nauczył się podczas pobytu w Warszawie.

W Laojanie

Dostaliśmy lanie.

W Port-Arturze

Dostaliśmy po skórze.  
W Kraju Wschodzącego Słońca  
Dostał Moskal od Japońca.

Żarty skończyły się w wigilijną noc 1904 roku, gdy carska żandarmeria aresztowała Gawriłę. Rozpoczynającej się właśnie rewolucji Janek Lesman doświadczył na własnej skórze kilka tygodni później, gdy po ataku wyrostka robaczkowego ojciec zawiózł go do Petersburga, do słynnego (leczył nawet carską rodzinę) chirurga, profesora Minejki.

Był niedzielny poranek 22 stycznia 1905 roku, który miał przejść do historii Rosji jako krwawa niedziela. Jadąc do profesora, Aleksander Lesman i Janek musieli przeciskać się przez zatłoczone miasto. Na ulice Petersburga wyległo blisko 200 000 robotników, domagających się ośmiogodzinnego dnia pracy i podniesienia płac. Rząd wyprowadził przeciwko nim żandarmerię i wojsko, doszło do rozruchów. Większość ludzi demonstrowała przeciw carowi, byli jednak wśród manifestujących i tacy, którzy nieśli portrety Mikołaja II, deklarując miłość i lojalność wobec władcy. Żandarmeria strzelała do jednych i drugich. Oficjalnie zginęło około stu, nieoficjalnie blisko tysiąc ludzi. „Ujrzałem obok siebie młodą dziewczynę. Z jej przestrelonej głowy broczyła krew” – wspominał wiele lat później Brzechwa. Na ulicach panowała panika, ludzie próbowali uciekać przed kolejnymi salwami i szarżami konnicy, ale bramy parku Aleksandrowskiego, jedynej drogi ratunku, zostały zamknięte: „Uwięzieni w parku ludzie zaczęli miotać się jak zwierzęta w klatce”.

Kiedy udało się wreszcie zrobić wyrwę w ogrodowej kracie, przedostali się z ojcem do spokojniejszej części miasta. Ale to wcale nie znaczyło, że byli bezpieczni. Zamieszki rozlały się na całe miasto. Dotarli do stołówki Instytutu Technologicznego, którą ojciec pamiętał z czasów studiów. „Po drodze zobaczyliśmy jeszcze kobietę zabita w dorozce; nogi jej wisiały w powietrzu, a z jednej podczas jazdy spadł walonek” – opisywał Brzechwa. W stołówce spędzili cały dzień, bo ojcu odradzono wychodzenie z dzieckiem na ulice miasta, w którym cały czas trwała strzelanina.

Do profesora Minejki zamiast rano dotarli późnym wieczorem. Nakazał wycięcie wyrostka, najlepiej na wiosnę. Wydawało się, że to najgorsze, co chłopca czeka, gdy w Wielkanoc zmarł Jegor. Ratował Janka, który spadł z mostu do rwącej rzeki, potem sam przemoczo-ny woził go w poszukiwaniu lekarza. Dostał zapalenia płuc i po kilku tygodniach, mimo przewiezienia do szpitala, zmarł. Aleksander Lesman zapisał wdowie po Jegorze połowę należnych mu od kolei składek emerytalnych.

Wiosną 1905 roku na kolei wybuchł strajk. Jeden po drugim stawały warsztaty i parowozownie kolejnych odcinków. Strajkiem objęta została cała Kolej Moskiewsko-Windawsko-Rybińska, której częścią było nowosokolnickie depo. Nie pracowała poczta, przestał działać telegraf. Kolejarze odmówili przewożenia wojska, które miało tłumić strajki. Gubernator wściekał się, ale był bezsilny, bez kolei państwo przestało funkcjonować. Inżynier Lesman znalazł się w centrum wydarzeń. „Nie należał do żadnej partii, ale z przekonania był socjalistą i demokratą” – napisała Halina Korecka. Wyjechał do Wielkich Łuków, skąd docierały coraz bardziej niepokojące wieści. Podobno do miasteczka sprowadzono już wojsko, więc będzie pewnie jak w Moskwie, Charkowie czy Petersburgu, gdzie zginęły setki ludzi. „Czy to ma sens? Łatwo jest krzyczeć «Dałoj samodzierżawie!». A co potem? Zgnić w kazamatach albo na Sybirze? Szkoda ludzi... Głową muru nie przebijesz...” – straszili matkę zaprzyjaźnieni Rosjanie.

Kiedy ojciec wrócił wreszcie do Nowych Sokolnik przybranym gałązkami jedliny parowozem, ze skrzyżowanymi na przedzie czerwonymi chorągiewkami, wydawało się jednak, że wszystko skończy się dobrze. Niesiony na ramionach Gawrzyły, Frołowa i innych maszynistów inżynier stanął na stole i zaczął czytać odezwę rządu, którą przywiózł. Zawierała obietnice poprawy bytu robotników i chłopów, wolności słowa. „Słyszeliśmy nowe dla nas słowa: «konstytucja», «rewolucja», «manifest»” – wspominała Korecka.

Ale nie trwało to długo. Po kilku dniach entuzjazmu zaczęły napływać wieści o brutalnym rozprawianiu się z rewolucją przez żandarmerię i wojsko. Pojawiły się też podjudzane przez policję oddzia-

ły czarnej sotni, żerującej na przywiązaniu wielu Rosjan do caratu. Rozpoczęły się organizowane przez Związek Narodu Rosyjskiego napaści na strajkujących i pogromy Żydów. Na początku opór ludzi był skuteczny, ale nie wiadomo było, na jak długo starczy im determinacji i siły. Aleksander Lesman podczas kolejnego wystąpienia do strajkujących w Nowych Sokolnikach nazwał carski manifest „oszukańczym manewrem”. To przekonywało maszynistów w depo, ale coraz bardziej przerażonych urzędników kolejowych, w większości Rosjan, już nie.

– Szkoda, że cię nie było, jak twój ojciec przemawiał! Nie każdy tak potrafi... Mądry człowiek! Mówi, jakby nam w sercu czytał! – opowiadała Gawriła Jankowi. Jeden z maszynistów, oburzony krytyką carskiej odezwy, chciał jednak rzucić w naczelnika depo ciężką mutrą. Obezwładnili go inni.

– Dlaczego pani mąż nazywa manifest oszukańczym manewrem? Tak możemy mówić między sobą... ale publicznie? Do robotników? – przekonywał matkę inżynier Matwiejew, zastępca ojca w depo.

Ale dumny z ojca mały Janek chodził po domu i powtarzał usłyszany od kogoś dwuwiersz:

Car ispugałsia – izdał manifest:

Miortwym – swoboda, żywych pod arest.

Któregoś zimowego ranka, lepiąc w ogrodzie przy domu bałwana, znalazł pod śniegiem jakiś metalowy przedmiot. To była skrzynka pełna naboji, a obok owinięty w ceratę karabin. Przerażona matka szybko przysypała znalezisko śniegiem.

– Jeśli ktokolwiek o tym się dowie, tatusia zamkną do więzienia – ostrzegła i wymogła na dzieciach przyrzeczenie milczenia. W nocy ktoś przeniósł broń i amunicję w inne miejsce, a tam, gdzie dzieci je znalazły, stanął nowy bałwan.

Z Moskwy i Petersburga dochodziły coraz gorsze wieści. O wyciąganiu ludzi z mieszkań, podpalaniu domów, publicznych egzekucjach bez sądu, pacyfikowaniu strajkujących fabryk. W Wielkich Łukach



płonęły warsztaty, rabowano żydowskie sklepy, napadano na ich właścicieli. Rewolucja miała się ku końcowi. Także do Nowych Sokolnik „zjechała policja i zaczęły się aresztowania, gdyż naczelnik stacji okazał się szpiclem i donosicielem” – wspominała Halina Korecka.

Aleksander Lesman został wyrzucony z pracy. Najpierw dostał telegram o przeniesieniu na małą stacyjkę pod Rzewem, a kilka godzin później kolejny – o zwolnieniu. „Ponadto dowiedział się poufnie, że jest wpisany na czarną listę” – napisał Brzechwa. Oznaczało to, że nie znajdzie pracy nie tylko na kolei, ale nie będzie mógł więcej zajmować żadnej państwowej posady.

W dodatku trudno było liczyć, że to koniec represji. Do Nowych Sokolnik przyjechał wuj Benedykt, żeby namówić szwagra do wyjazdu. To samo, po aresztowaniach w depo, radził Rosjanin Matwiejew. „Pan musi ulotnić się stąd natychmiast” – przekonywał. Zadbał nawet o parowóz, który wywiózł inżyniera Lesmana poza granice guberni, skąd łatwiej było o pociąg do Warszawy. Resztą rodziny miał zaopiekować się wuj. Także Gawriła wyjechał do Petersburga, bo tam łatwiej było zgubić się wśród ludzi.

Lesmanowie wyładowali najpierw na chwilę w Wielkich Łukach. Zajęli dwa pokoje i strych domu doktora Jakuba. Janek był świadkiem, jak dom zaatakowała banda czarnosecińców, złożona z napędzanych nienawiścią do obcych szumowin z miasteczka.

– Otwieraj, parchu, niemyta twoja mordą – wrzeszczał jakiś wyrostek, dobijający się do bramy i grożący podpaleniem domu.

Nie pomogło przypomnienie przez starego doktora, że przecież przez trzydzieści lat leczył napastników i ich rodziny, nie biorąc za to grosza. Wielu przyjmował na świat, wielu uratował zdrowie i życie. Na próżno, w 1906 roku nie było to już ważne. Był Żydem, a carska policja przekonywała, że to Żydzi i Polacy są winni nędzy ludu.

Przerażona Michalina zaprowadziła dzieci na strych, wyjęła błyszczący niklem rewolwer smith and wesson i sprawdziła, czy w środku są naboje.

– Robię to, co robiłby wasz ojciec, gdyby był z nami – oświadczyła dzieciom.

Ostatecznie jednak bandę rozpędziła dorożkarskim batem Jewdokia, wdowa po Jegorze, który uratował Janka przed śmiercią w rwącej Łowati.

Kiedy tylko stało się to możliwe, rodzice postanowili poszukać szczęścia w Kijowie. Wydawało się, że w dużym mieście, w którym istniała spora kolonia polska, łatwiej będzie zacząć wszystko od nowa.

Ojciec założył biuro handlowe i próbował utrzymać rodzinę, pośrednicząc w dostawach węgla i narzędzi dla kolei. Szybko jednak okazało się, że brak mu nie tylko doświadczenia, ale i niezbędnego w handlu sprytu. Nie potrafił przekonywać łapówkami decydujących o zakupie urzędników, że to jego towar jest najlepszy. Przedkładał wypełnione setkami liczb dokumenty dowodzące najwyższej jakości oferowanego antracytu i najwyższej sprawności sprzętu, a i tak za każdym razem okazywało się, że zamówienie dostawał ktoś, kto towar miał może gorszy, ale potrafił zapewnić sobie przychyłność decydujących o zakupie. „W rezultacie zamiast zarobku, ponosił straty” – wspominała Halina Korecka. Nie odniósł sukcesu także jako przedstawiciel handlowy Towarzystwa Maszyn Pneumatycznych, które próbowało podbić rynek pierwszymi w Rosji odkurzaczami. Nie pomogło nawet rozszerzenie działalności na usługowe odkurzanie mieszkań. Ludzie nie mieli zaufania do warczącego i wyjącego urządzenia, które, jak uważali, jest mniej skuteczne od zwykłej trzepaczki, a w dodatku niszczy dywany. Na koniec któregoś dnia bez uprzedzenia zniknął zatrudniony do odkurzania pracownik.

W Kijowie Janek po raz pierwszy w życiu był w teatrze (widział *Fausta*, *Rewizora* i *Noc Walpurgii*), cyrku (występował słynny komik i treser zwierząt Włodzimierz Durow) i kinie (oglądał m.in. nieme filmy ze sławnym francuskim komikiem André Deedem, zwanym Boireau lub Gribouille, a w Rosji po prostu Głupyszkinem). *Rewizorem* – wspominał po latach Brzechwa – był tak zachwycony, że nauczył się całej sztuki na pamięć i sam odgrywał w domu wszystkie role. Ale największe wrażenie zrobił na nim teatrzyk Pietruszki, który co jakiś czas pojawiał się na podwórku kamienicy na Wielkiej Włodzimierskiej, gdzie zamieszkali Lesmanowie. Słowo Pietruszka

oznaczało wszystko naraz: głównego bohatera widowiska i wędrownego teatrzyk, który mieścił się w walizce jego właściciela, dyrektora i aktora w jednej osobie. Pietruszka wbiegał niespodziewanie na podwórze i głośnym wołaniem zapowiadał spektakl. Potem rozstawiał pstrokaty parawan, za którym szykował się do występu, a rosnąca gromada dzieci i dorosłych z zapartym tchem czekała na rozpoczęcie przedstawienia. Po chwili na krawędzi parawanu pojawiał się Pietruszka, „ulubieniec tłumu i przyjaciel dzieci, długonosy, krzykliwy i śmieszny zabijaka”, wspominał kilkadziesiąt lat później Brzechwa.

Pietruszka występował zawsze z dwiema innymi postaciami, uosabiającymi ludzkie przywary i ułomności, z których nie tylko bezlitośnie drwił, ale i karmił za pomocą długiej pałki. Dawał ludziom z kijowskich przedmieść poczucie, że jest ktoś, kto widzi ich biedę i chce się za nimi ująć. Krytykował skorumpowanych carskich czynowników, nieuczciwych kupców, zachłannych popów i plotkary, wyśmiewał głupie zarządzenia, walił pałką po głowie możnych i bogatych. „Śmiałe aluzje polityczne wywoływały niezadowolenie policji i narażały Pietruszkę na prześladowanie” – wspominał Brzechwa, ale ludowy bohater nie przejmował się tym. Śmiech, wdzięczność ludzi oraz drobne monety rzucone z okien były wystarczającą zapłatą za niezbyt wyrafinowane zwykle dowcipy. Przeganiany z jednego podwórka Pietruszka błyskawicznie rozstawiał swój parawan na kolejnym. Za nim wędrowały dzieci, najwierniejsi widzowie tych widowisk, pomagając w pakowaniu się, a przede wszystkim zbierając rzucone miedziaki. „Był to niekiedy jedyny teatr, jaki widziano w tej czy innej zapadłej mieścinie” – pisał Brzechwa.

Pietruszkę znały niemal wszystkie miasta carskiego imperium, ale nie był zjawiskiem wyłącznie rosyjskim; postaci podobnych sowiźdrzałów znają kultury ludowe całego świata, od Niemiec po Chiny i Japonię. Dla Brzechwy przez lata był symbolem dzieciństwa, kiedy marzył, by samemu stanąć za parawanem i mieć własnego Pietruszkę. Udało mu się później to marzenie spełnić, stworzył cykl widowisk kukielkowych „Teatr Pietruszki”.

W Kijowie był świadkiem wzburzenia, jakie wywołał śmiertelny zamach na carskiego premiera Piotra Stołypina w Teatrze Miejskim,

ale równie mocno przeżył pokaz lotniczy na hipodromie za miastem słynnego nie tylko w Rosji lotnika Siergieja Utoczkina. „Pasjonowałem się tymi sprawami i marzyłem o niebezpiecznym zawodzie lotnika” – wspominał Brzechwa.

Nawiązał nowe znajomości i przyjaźnie. Z chłopcami z podwórka kamienicy: Wanią Mandrowskim, synem praczki z piątego piętra, Wołodią, synem właściciela sklepiku, gdzie kupowało się gruszkowe i berbersowe cukierki oraz z Kukurydzą (dla odróżnienia, bo też miał na imię Wołodzia), którego ojciec prowadził laboratorium chemiczne. I z kolegami z gimnazjum: delikatnym Aleksandrowem, z którym przyjaźnił się najdłużej, sierotą Szymborskim, drugorocznym Łobanowem i prymusem Plujem. A także z najbardziej tajemniczym ze wszystkich, Paszą, młodszym od Janka, ale znacznie bardziej odważnym. „Górował nad nami władczym, gwałtownym charakterem. Żaden z nas nie śmiał mu się przeciwstawić” – wspominał Brzechwa Paszę, zawsze przekonanego, że wolno mu więcej niż innym. „Był czasem okrutny...” – wspominał Paszę jego ojciec, gdy chłopiec w wieku 11 lat popełnił samobójstwo.

W kijowskim domu Lesmanów było biednie. Janek zapamiętał podawane niemal co dnia kotlety mielone – jadło się je na obiad i kolację, a to, czego nie zjedzono, dostawał następnego dnia do szkoły – i marchewkę, której nienawidził, co zostało mu do końca życia. „Chciałem, żeby codziennie na obiad były nadziewane kurczęta z mizerią, a na deser lody. (...) Nie rozumiałem wtedy, że u nas w domu się nie przelewało” – napisał.

Mielone i marchewka były głównym składnikiem menu także podczas miesięcy letnich, które Lesmanowie spędzali w nieodległej Bojarce (jechało się tam wynajętą furką na stosie betów i naczyń kuchennych). Któregoś razu Janek wymyślił fortel, który miał to zmienić. Napisał do siostry kartkę w imieniu jej ukochanej przyjaciółki Niny, że przyjeżdża w niedzielę i że bardzo lubi nadziewanego kurczaka. W niedzielę Halina poszła na odległą o dwie wiorsty stację przywitać Ninę, ale przyjaciółki nie było. Parę godzin później wyszła na następny pociąg. Na próżno... Ale na obiad był nadziewany

kurczak i mizeria, a nawet lody. „Kawał się udał” – wspominał Brzechwa.

Podobnie jak próby zarabiania na wierszykach, które zaczął układać w wieku dwunastu lat. „W wierszowanych paszkwilach wyszydzałem ku ogólnemu zgorszeniu najdostojniejsze ciotki” – wspominał. Przepisywał je następnie w kilkunastu egzemplarzach i albo sprzedawał krewnym, albo brał pieniądze za nierozpowszechnianie co bardziej zjadliwych fraszek. Najwięcej za milczenie gotowe były płacić ciotki, ale i siostra dała mu 50 kopiejek, byle tylko nie ujawnił poświęconego jej utworu.

Wbrew namowom ojca rozpoczął w Kijowie naukę w gimnazjum handlowym. Tytuł „kandydata komercji”, jaki nosili absolwenci tego gimnazjum, i zielony otok czapki wydały mu się znacznie bardziej atrakcyjne niż żółty otok uczniów szkoły realnej. A i matka twierdziła, że szkoła handlowa daje wiedzę praktyczną, bardziej przydatną w życiu niż wykształcenie humanistyczne. „Jaś uczył się dobrze. Bardzo lubił czytać. Początkowo pasjonował się kryminałami w popularnym wydaniu – przygodami Pinkertona lub Sherlocka Holmesa” – wspominała starsza siostra. Potem sięgnął po poważniejsze lektury z biblioteki ojca: dramaty wieszczów, wiersze Asnyka i Ujejskiego, powieści Balzaka i Wiktora Hugo, dzieła naukowe. Czytał wspomnienia Davida Livingstone’a z Afryki, pamiętniki kapitana Roberta Scotta i opisy wyprawy polarnej podróżnika Roberta Peary’ego. Pochłaniał książki o życiu owadów, a nawet obrazoburcze dla wielu *Dzieje stosunku wiary do rozumu* Johna Wilhelma Drapera (w oryginale tytuł brzmiał bardziej jednoznacznie *History of the Conflict between Religion and Science*).

Na zakończenie kolejnej klasy znalazł się wśród pięciu najlepszych uczniów, zwolnionych z większości egzaminów. Do zaliczenia miał tylko matematykę, egzamin pisemny z rosyjskiego i ustny z historii. Pierwsze dwa poszły łatwo, została historia. Wylosował pytania z historii Rosji od roku 1613, a więc od momentu dojścia do władzy dynastii Romanowów, do 1713. Jego wiedza na ten temat wykraczała daleko poza zakres materiału z podręcznika. Zasiadający

w komisji inspektor okręgowy pochwalił, że tak świetnie zna historię ojczyzny.

– To nie jest moja historia ojczysta – przywołał we wspomnieniach swoją odpowiedź.

– Jak to? Nie jesteś Rosjaninem?

– Jestem Polakiem... – odpowiedział z dumą, gdy siedzący w komisji historyk Korieniewski próbował ratować sytuację. Przekonywał inspektora, że jest tym bardziej chwalebne, iż młody Lesman, nie będąc Rosjaninem, tak dobrze zna historię Imperium, która obejmuje też Priwislinski Kraj. Wyszło jeszcze gorzej.

– To nie jest Priwislinski Kraj, to jest Polska – sprostował uczeń.

Odpowiedział na wszystkie pytania celująco, ale Korieniewski postawił mu tylko czwórkę. Po jakimś czasie poprosił jednak, żeby Janek nie miał mu tego za złe. Nie miał innego wyjścia.

– Inspektor twierdził, że urządziłeś demonstrację polityczną, chciał pisać raport do okręgu szkolnego – tłumaczył. Ponoć dopiero dyrektor szkoły go udobruchał.

To była pierwsza poważna narodowa deklaracja nastolatka. Wcześniej wiadomo było, że Polska to Polska, a życie w Rosji to ekonomiczny przymus, który jednak nie stawiał dziecka przed poważniejszymi dylematami. Rosjanie w Nowych Sokolnikach, Wielkich Łukach, Kijowie byli różni: dobrzy i źli, mądrzy i głupi, szlachetni i podli. Byli donosiciele i byli przyjaciele Moskale, który ostrzegali nieprawomyślnych Polaków przed grożącymi im carskimi represjami. Ale i o Polakach trudno było powiedzieć, że wszyscy, jak jeden, są od Rosjan lepsi. Co prawda wuj Bronisław przekonywał, że każdy Moskal to zbir i powinno się wyrzucić z biblioteki wszystkie książki rosyjskich poetów, bo to ohyda, ale ojciec powiedział, że nie pozwoli syna ogłupiać.

– Naród nie odpowiada za łajdactwa rządu. Znam wśród Rosjan mnóstwo szlachetnych ludzi – mówił, choć zdaniem wuja sympatia do Rosjan to dowód „zmoskwiczenia”, bo w każdym Moskalu żyje duch Stołypina, który krwawo stłumił rewolucję 1905 roku.

Lesmanowie spędzili w Kijowie trzy lata, wreszcie, wyczerpani kolejnymi nieudanymi próbami finansowego stanięcia na nogi i koń-

czącymi się klęską pomysłami ojca – ostatnim było przedstawicielstwo handlowe producenta maszyn do pisania Royal – postanowili wrócić do Warszawy, gdzie była przecież prawie cała rodzina zarówno ojca, jak i matki. Michalina z dziećmi zamieszkała w pokoju wynajętym od ciotki Marii (siostry matki) przy ulicy Czackiego 8, ojciec, dla którego nie było tam miejsca, sypiał kątem u swojej siostry. Przepadły meble, obrazy i książki, które zostawili w Kijowie. Zostawili je zapakowane w skrzyniach w magazynie, ale nie mieli pieniędzy, by opłacić składowe. „Czekała nas bezdomność, długotrwała poniewierka i wegetacja” – wspominała siostra poety.

Ojciec dostał posadę w należącym do wuja Benedykta warsztacie ślusarskim w Lublinie. Warsztat był maleńki, zatrudniał zaledwie jednego ślusarza i jego pomocnika, więc nie mogło być wątpliwości, że „dyrektorska” posada to tak naprawdę zapomoga dla będących w tarapatkach Lesmanów. „Pensja 120 rubli miesięcznie stanowiła więc upokarzający datek z kieszeni wuja” – pisał Brzechwa. W tygodniu ojciec nocował w pokoiku nad warsztatem, gdzie czasem odwiedzał go syn. „Staliśmy się ubogimi krewnymi i poznaliśmy gorzyc ludzi zmuszonych do korzystania z pomocy zamożnej rodziny” – wspominała Halina Korecka.

A jakby nieszczęście było mało, matka zachorowała na żółtaczkę. Brzechwa napisał, że stało się to jeszcze w Kijowie, jego siostra, że już w Warszawie. Brzechwa zapamiętał, że diagnozę postawił doktor Karawajew, Halina, że doktor Leśniowski. Ale obaj medycy byli zgodni: stan jest bardzo ciężki, wręcz beznadziejny. Operacja może pomóc, ale szansa, że zabieg się uda, jest jedna na sto. Wezwane przez ojca ciotki orzekły, że należy pozwolić matce w spokoju umrzeć. Aleksander zamknął się z córką i synem w pokoju: – No, dzieci, decydujcie. Ja straciłem już wszelką nadzieję – powiedział.

Decyzja była: operować. Brzechwa zapamiętał, że operację przeprowadził kijowski chirurg, profesor Zieliński, siostra, że doktor Leśniowski w Warszawie. Pewne było jedno, pobyt w szpitalu zrujnował Lesmanów doszczętnie, do lombardu trafił nawet złoty zegarek ojca, a i tak honorarium lekarza długo pozostawało niezapłacone. Ale za-

bieg powiódł się i matka po kilku tygodniach wróciła do domu. Poprawiła się też sytuacja finansowa rodziny, bo udało się sprzedać jedną z parceli, które ojciec kupił kiedyś w Wielkich Łukach.

W Warszawie Janek Lesman chodził do gimnazjum Jeżewskiego. Coraz bardziej rozsmakowywał się w polskich książkach, a popołudniami w obszernej jadalni ciotki Marii dawał przed rodziną aktorские popisy. Wkraczał do pokoju niczym aktor na scenę, spowity w prześcieradło jak w togę. Unosił obnażone ramię i zaczynał recytować któryś z wierszy wieszczów albo np. fragment *Irydiona* Zygmunta Krasińskiego: „Żmijo, którą kocham, czego żądasz więcej?”. Słuchacze, początkowo zaskoczeni, stopniowo poddawali się magii poezji, wspominała siostra.

Jesienią 1913 roku ojciec dostał propozycję dobrze płatnej pracy w Zakładach Budowy Maszyn Hartmana w Ługańsku, na wschodnim krańcu Ukrainy. Miał zostać kierownikiem biura konstrukcyjnego. Matka obawiała się, że Ługańsk może okazać się taką samą dziurą jak Wielkie Łuki, ale ojciec postawił na swoim. Na miejscu okazało się, że Zakłady Hartmana zamierzają wysłać inżyniera Lesmana do Kazania, gdzie będzie nadzorował budowę kotłów i urządzeń grzewczych.

Wiosną 1914 rodzice i Janek wyruszyli do Ługańska, a dziewiętnastoletnia Halinka, która zdążyła tymczasem wyjść za mąż, szykowała się do wyjazdu do Sankt Petersburga, gdzie jej mąż dostał pierwszą posadę. W sierpniu 1914 roku wybuchła wojna, którą nazwano wielką, a po latach pierwszą światową, zaś miesiąc później do Petersburga przyjechał także Janek. Rodzice postanowili, że właśnie tam dokończy gimnazjum.

W Petersburgu miał co prawda mieszkać sam, ale pod czujnym okiem starszej siostry. Po kilkudniowych poszukiwaniach Halina znalazła bratu pokoik, na pierwszy rzut oka schludny i niedrogi, z opiekuńczą gospodynią, która zapewniała, że zadba o chłopca. Siostra zaprowadziła Janka w nowe miejsce, zadowolona, że tak dobrze wypełniła prośbę rodziców.

Rankiem następnego dnia Janek zastukał do mieszkania Haliny i szwagra. Był przerażony, bo okazało się, że pokój „przy rodzinie” to



część domu publicznego. Przez całą noc do gimnazjalisty dobijali się klienci „dziewczynek”. Chłopak musiał zabarykadować drzwi meblami, a siostra szybko poszukać mu innej stancji.

Nauka szła mu nieźle, ale maturzysta nie stronił i od innych rozrywek. „Był dobrze ułożony, rozwinięty fizycznie i umysłowo, traktowano go już jako dorosłego mężczyznę” – wspominała siostra, a Janek brał to za dobrą monetę. Któregoś dnia przyszedł do Haliny i przyznał się, że grał w karty na pieniądze i oczywiście przegrał.

– Sprawa honorowa, ratuj – prosił.

Siostra zastawiła w lombardzie złoty zegarek, żeby wyciągnąć lekomyślnego gimnazjalistę z tarapatów. Przynależ, że więcej w hazard wciągnąć się nie da. Dotrzymał słowa, ale i tak Halina musiała ratować go jeszcze raz. Młody elegant chciał dorównać bogatszym kolegom i za pieniądze, które rodzice przysłali mu na utrzymanie, kupił najmodniejszy wówczas żakiet. Nie przyznał się jednak siostrze, że głoduje, żywił się, gdzie się dało. Najczęściej w stołówce studenckiej, w której można było dostać za darmo chleb z sosem. Tam zobaczyła go Halina i wszystko się wydało.

W Petersburgu zadebiutował jako poeta. Wiersze siedemnastolatka ukazały się w tygodniku „Sztandar”, redagowanym przez Remigiusza Kwiatkowskiego, poetę i tłumacza. Za pierwszy dostał honorarium w wysokości jednego rubla, dla gimnazjalisty kwotę nie do pogardzenia. Wiersze podpisywał, za namową kuzyna Bolka Leśmiana (wtedy jeszcze używającego twardej formy nazwiska – Lesman), pseudonimem Jan Brzechwa. Kiedy Bolek dowiedział się, że młodszy o ponad dwadzieścia lat stryjeczny brat też pisze wiersze, orzekł, że nie może być dwóch poetów o tym samym nazwisku, bo wynikną z tego wyłącznie nieporozumienia. I wymyślił pseudonim – Brzechwa.

– Pomyśl – przekonywał krewniaka – jakie to piękne: opierzona część strzały.

„I tak już zostałem Brzechwą na całe życie” – wspominał po latach przyszły autor *Akademii Pana Kleksa*.

## Marnym byłem żołnierzem...

Po maturze zaliczonej w 1916 roku Jan wrócił do rodziców, do Kazania. Nie bardzo jeszcze wiedział, co tak naprawdę chce w życiu robić (może poza układaniem wierszy). Zapisał się co prawda na studia w Instytucie Technologicznym, tym samym, który ukończył ojciec, ale po wakacjach nie wrócił do Petersburga.

W Kazaniu rozpoczął studia medyczne, ale szybko je rzucił, „gdy doszło do krajania żab” – wspominała siostra. Przeniósł się na polonistykę, ale i tam długo miejsca nie zagrzał.

W Kazaniu wylądował również Remigiusz Kwiatkowski. Spotykali się w klubie polonijnym, Brzechwa pokazywał mu nowe wiersze, a Kwiatkowski chwalił i zachęcał do pisania. Młody poeta publikował bardzo jeszcze naiwne utwory w ukazujących się w Kijowie „Kłosach Ukraińskich”, dostał nawet nagrodę za wiersz poświęcony zmarłemu w listopadzie 1916 roku Henrykowi Sienkiewiczowi. Na uniwersytecie kazańskim współtworzył i był sekretarzem redakcji studenckiego pisma „Przyszłość”, w którym ukazywały się jego wiersze i felietony.

Polonistykę rzucił, bo rodzice zaczęli przemyśliwać o powrocie do kraju. Nie było jeszcze pewności, czy po wojnie odrodzi się niepodległa Polska, ale coraz więcej przesłanek wskazywało na to, że cokolwiek nad Wisłą powstanie, będzie bardziej suwerenne niż twory istniejące przez poprzednie sto lat. Być może decyzję o wyjeździe przyspieszył romans, w który wdał się dziewiętnastoletni Janek. Adorowana przez niego Rosjanka, w dodatku z dwójką dzieci (mąż na froncie), z wdzięcznością przyjmowała pomoc oraz awanse kochliwego studenta. Interweniowała matka. Wzięła syna na rozmowę i roztoczyła czarną wizję przyszłości, która go czeka, jeśli uwikła się w związek z mężatką i będzie musiał wychowywać cudze dzieci. Zostanie w Kazaniu i pogrzebie nadzieje na życie w wolnej Polsce. Dał się przekonać i zerwał kontakty z kobietą (echa tego romansu znała-

zły się po latach w powieści *Gdy owoc dojrzeje*). Ale kochanka nie chciała zrezygnować. Po kilku dniach przysłała jedno z dzieci z liścikiem: „Jasja, jeśli wy nie prijdiotie, ja ubijus”. Odpisał: „Ja bolsze nie prijdu. Ni siewodnia, ni zawtra, nikogda nie prijdu”. „Tak zakończyła się niebezpieczna zabawa w miłość” – wspominała Halina Korecka.

W Kazaniu nieoczekiwanie dla samego siebie wziął udział w rewolucji. Należał do straży studenckiej chroniącej budynki uczelni przed złodziejami, wykorzystującymi rozprzężenie w kraju po zabiciu rodziny carskiej. Rada Delegatów Żołnierskich i Robotniczych, która objęła w mieście władzę, uznała go w związku z tym za osobę zaufaną i mianowała komisarzem ds. rybołówstwa na Wołdze, od Niżnego Nowgorodu do Kazania. Miał do dyspozycji uzbrojonego czerwonogwardzistę i motorówkę. „Po tygodniu zostałem odwołany, gdyż ochrona wód wymagałaby całej flotylli. W braku apro wizacji tłumi amatorów wypływały na połów ryb, a wędkarze obrzucali nas kamieniami” – wspominał po latach.

Wiosną 1918 roku ruszył do Polski, której jeszcze nie było, ale wieści znad Wisły napawały coraz większą nadzieją. „Przedzierając się przez kordony i kwarantanny, walcząc o miejsce w «ciepłuszkach», częściowo koleją, a częściowo pieszo dotarłem z Kazania do Warszawy w maju 1918 roku” – wspominał. Rodzice, którzy podróżowali osobno, zatrzymali się w Radomiu, gdzie ojciec podjął pracę w Dyrekcji Kolei Państwowych.

Kilka miesięcy później przyjechała do Warszawy także Halina z mężem. Zamieszkali u ciotki Marii przy Czackiego i tam spotkali się z Jankiem, który w Warszawie zapisał się na kolejne studia, tym razem było to prawo na uniwersytecie. Ale bardziej zajęty był tym, co działo się w mieście. Z dumą opowiadał, jak rozbierał Niemców, a potem razem ze spokrewnionym z Lesmanami Antkiem Langem (też poetą) wyśpiewywał legionowe piosenki. Miał o czym opowiadać. Niemcy, którzy po wyjściu Rosjan zajęli Warszawę, czuli się na początku pewnie, ale im bliżej było końca wojny, tym buta okupanta malała. W listopadzie, krótko przed przyjazdem do stolicy Józefa Piłsudskiego, rozpoczęło się rozbieranie Wehrmachtu.

Brzechwa mieszkał wówczas na Chmielnej, w wynajmowanym z kolegami pokoiku na piątym piętrze czynszowej kamienicy. Któregoś niedzielnego poranka zaczęli zatrzymywać kręcących się po Brackiej żołnierzy i podoficerów. Niemcy bez sprzeciwu oddawali karabiny, które studenci znosili do swojego mieszkania. Jakiś czas później zapukało do nich kilku wojskowych, którzy zajmowali sąsiednie pokoje. „Postanowili dobrowolnie oddać nam swoją broń” – wspominał Brzechwa. Na dowód pokojowych intencji dołożyli fajkę z metrowym cybuchem.

Studenci zawieźli broń do komendy miasta, utworzonej przez Polską Organizację Wojskową. „Sprowadziliśmy dorożkę, załadowaliśmy na nią stos karabinów, rewolwerów i bagnetów i z tryumfem ruszyliśmy” – pisał po latach Brzechwa.

Jeszcze w listopadzie wstąpił do sformowanej ze studentów warszawskich uczelni Legii Akademickiej, którą później przemianowano na 36. Pułk Piechoty. Razem z innymi ochotnikami trafił do koszar przy Nowowiejskiej. Na początku nie mieli nawet mundurów, „jedynie orzełki na studenckich czapkach wskazywały na przynależność naszą do tworzącej się armii” – wspominał.

Student Jan Wiktor Lesman znalazł się w czwartej kompanii, którą dowodził porucznik Śmigieński; dowódcą pułku był major Bobrowski. Ale tak naprawdę rządził kompanią sierżant Ząbek, były podoficer Wehrmachtu. Żywił lekką pogardę dla studentów, którzy nie powąchaliby jeszcze prochu, i dla ich „inteligentkich” naszywek na mankietach płaszczy. Demonstrował to przy każdej nadarzającej się okazji.

– Bacność! Który z was ma ładny charakter pisma? – pytał.

– Ja – zgłosił się Brzechwa.

– No to pójdziecie zamieść kancelarię.

Świeżo upieczeni rekruci fasowali codziennie gorącą zupę z kotła i pół bochenka chleba, do tego śledzie, kostkę sztucznego miodu i kluski polane kompotem z suszonych ułęgałek. Czyli wszystko, co zawierały opuszczone przez Niemców magazyny wojskowe. Oprócz tego dostawali po dwa cygara, które krajali na cienkie pasemka i palili w bibułkach.

Pierwsze dni w wojsku wypełniła musztra od rana do wieczora pod nadzorem sierżanta Ząbka. Potem zaczęto akademików wyznaczać do służby wartowniczej. Pierwszy przydział drużyny Brzechwy to była fabryka konserw na warszawskim Kamionku. W magazynie zakładów znaleźli zapasy wędlin i piwa. „Podczas gdy dwaj spośród nas kolejno pełnili wartę, pozostali ucztowali w kasynie, grali w preferansa albo szli spać na siano do wozowni” – wspominał Brzechwa.

Spędzili w fabryce cztery dni, nie mogąc doczekać się zmiany. W pułku zwyczajnie o nich zapomniano. Wyciągnęli więc z wozowni wóz, zaprzęgli dwa konie i salutując po drodze zdziwionym oficerom, wrócili do jednostki. „Tak zaczynała się dla nas niepodległość” – napisał.

W grudniu na placu Saskim odbyło się uroczyste zaprzysiężenie garnizonu warszawskiego. Nowo sformowane pułki, wśród nich Legia Akademicka, maszerowały przed Naczelnym Wodzem Józefem Piłsudskim. Żołnierze mieli już poniemieckie mundury, „komiśne”, ciężkie i skrzypiące, skórzane buty oraz wełniane kominiarki. Nieco później dostali też karabiny – niemieckie mausery. Instruktorzy uczyli ich, jak broń rozkładać, składać i czyścić, „ale zabrakło już czasu, abyśmy się nauczyli strzelać”.

Innych rzeczy też nie umiał, ale wydany rozkaz trzeba było wykonać. Któregoś dnia miał przeprowadzić kilka pułkowych koni z Nowowiejskiej na plac Saski. Na Nowym Świecie zwierzęta uciekły i rozbiegły się po bocznych uliczkach. Widziało to kilku przyjaciół i znajomych panienek, a przygodny gazeciarz rozdarł się na całą ulicę: – Panie generale, po czemu konina?

„Byłem ośmieszony, zdruzgotany” – wspominał Brzechwa. Oczywiście spóźnił się do koszar (konie pomogli mu wyłapać przechodnie) i na próżno tłumaczył szefowi kompanii, że przecież zatrzymał się tylko na chwilę przed kawiarnią Pikador, żeby posłuchać recytującego wiersze Jana Lechonia. Sierżant Ząbek był nieczuły na podobne argumenty. Służba poza kolejnością i dodatkowa musztra składająca się głównie z komend „Padnij” i „Powstań” miały wybić młodemu żołnierzowi z głowy poezję.

Kiedy indziej, pełniąc wartę, zapomniał, jak brzmi hasło, które mieli podawać oficerowie zmierzający do Belwederu. „Oczywiście nie ominęła go paka” – wspominała siostra. Jej zdaniem Janek w ogóle nie nadawał się do służby w armii.

Na przełomie stycznia i lutego żołnierzy Legii Akademickiej załadowano do wagonów. Przez Zamość, Rawę Ruską i Żółkiew ruszyli odbijając z rąk Ukraińców Lwów (kilka lat później Brzechwa dostanie za to medal). Podczas „kampanii ruskiej” zachorował na hiszpankę, odmianę grypy, na którą w latach 1918–1919 zapadł co trzeci człowiek na świecie (zmarło na nią według różnych szacunków od 50 do 100 milionów ludzi). Trafił do armijnego szpitala, a po wyleczeniu – już „jako medyk”, jak napisał w ankiecie personalnej po II wojnie światowej – do Stacji Zbornej Chorych i Rannych. Wojsku nie przeszkadzało, że doświadczenie poborowego to ledwie kilka miesięcy studiów medycznych. W warunkach wojennych lepszy był taki lekarz niż żaden.

Zapamiętał go z tego okresu Czesław Bobrowski, później wybitny ekonomista, który trafił do 36. Pułku Piechoty jako szesnastoletni ledwie gimnazjalista. Był jednym z setek ochotników, którzy tłumnie zgłaszali się do wojska, by bić się za ojczyznę. Powierzono mu obowiązki telefonisty i kancelisty w sztabie. „Dzięki poczuciu humoru mego bezpośredniego dowódcy – późniejszego poety Jana Brzechwy – wróciłem z wojska jako starszy strzelec” – napisał.

Potem była jeszcze Szkoła Podchorążych w Warszawie, której jednak Brzechwa nie ukończył. Odmroził ręce, nie zaliczył ćwiczeń ze strzelania i wrócił do pracy w Stacji. Pod koniec służby, w lipcu 1920 roku, został referentem propagandowym w Sekcji Polityczno-Prasowej II Oddziału 3. Armii. „Przydzielono go do redagowania gazety frontowej i organizowania imprez kulturalno-oświatowych dla żołnierzy” – wspominała siostra. Dowódcy byli z jego pracy zadowoleni. Jest samodzielny, pracowity i obowiązkowy, napisał w opinii szef sekcji. Inny przełożony dodał: „jako inteligentny podoficer wywiązuje się ze wszystkich powierzonych mu zadań w zupełności dobrze”. Jeszcze w 1919 roku awansował na sierżanta, a w 1920 na sierżanta sztabowego.

Wspomnieniem udziału Brzechwy w wojnie polsko-bolszewickiej były wiersze poświęcone Józefowi Piłsudskiemu, które po latach złożyły się na tom *Imię wielkości. W Piosence żołnierskiej* pisał:

Leżałem pełen niewiary  
W strzeleckim rowie na dnie.  
Smutny byłem i szary  
I nigdy nie znałeś mnie. (...)

Pamiętam szeregi tamte,  
I dzisiaj już wszystko wiem:  
Tyś dla nich był Komendantem,  
A dla mnie jawą i snem.

Uwielbienie dla Piłsudskiego i duma, że był „jednym z Jego milio-  
nów”, będą Brzechwie towarzyszyły do końca życia. Choć w innym  
wierszu napisze: „marnym byłem żołnierzem”.

## Zniszczyłem swoje utwory i zacząłem od początku...

Wracając do kraju, Brzechwa zabrał ze sobą grubą teczkę z wierszami. Był przekonany, że jest poetą równym najlepszym. Ale kiedy pokazał swoje utwory Bolesławowi Leśmianowi, kuzyn wylał mu na głowę kubek zimnej wody. Oceniał, że wiersze są nic niewarte, ich autor nie ma czego w poezji szukać, a na koniec dał mu do przeczytania wydany właśnie debiutancki tomik innego młodego poety. To było *Czyhanie na Boga* Juliana Tuwima.

– Po przeczytaniu zniszczyłem swoje utwory i zacząłem od początku – powiedział Brzechwa pół wieku później Krystynie Nastulance.

Warszawa w 1918 roku była miastem pełnym kontrastów. Gliniasty chleb był na kartki, w sklepach z obuwiem można było kupić głównie drewniaki („po prostu bieda z nędzą” – pisał Brzechwa), ale życie kulturalne kwitło. Rodzina, dobrze pamiętająca jego złośliwe wierszyki z dzieciństwa, poradziła, żeby spróbował sił w jednym z coraz popularniejszych kabaretów. „Można by rzec bez przesady, że obok tygodnika «Sowizdrzał» kabarety stanowiły trybunę satyryczną, z której padały aluzje polityczne, ukłucia pod adresem okupanta, szyderstwa piętnujące bolączki owych czasów” – wspominał. Dowcipy wygłaszane z kabaretowej sceny obiegały najpierw Warszawę, a później całą Polskę. Uznał, że to dla niego dobre miejsce.

Początki były trudne. Napisał dziesięć utworów, różnego rodzaju i różnej jakości, wedle autora przypominających twórczość Tadeusza Boya-Żeleńskiego, i poszedł spróbować szczęścia w Argusie, ogródkowym teatrzyku działającym przy ulicy Bielańskiej. Kierownik literacki scenki, poeta i satyryk Jan Stanisław Mar (naprawdę Marian Lewin), czytał kolejne podsuwane mu utwory, krzywił się i zwracał autorowi z krótkim słowem „nie”. Został ostatni, „zdaniem moim – nieudany, najgorszy ze wszystkich” – pisał Brzechwa. Zdesperowany wręczył go Marowi.